



Anna Danuta Przytuła

Sygnatura notacji: **N1012**
Data urodzenia: **22.11.1925 r.**
Data nagrania: **28.01.2018 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Minneapolis, Stany Zjednoczone**
Prowadząca/y rozmowę: **Rafał Pękała**
Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 55 min, część III 60 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**

część II z III



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Anna Danuta Przytuła: Ale chyba dość ważne jest, że muszę panu powiedzieć, że jedna noc była makabryczna, bo wtedy jak oni wpadli do nas, do tego mieszkania po raz drugi, Niemcy, i zrobili te wstawanie, że tak powiem, na baczność, to ten Piotrek był u nas. I nie umiem sobie zdać sprawy, czy to dobry Niemiec, czy cud niebieski. W każdym razie sprawdzał po kolei dokumenty babci, mamy, starszego brata. I wie pan, nie sprawdził tego mojego młodszego brata i tego Piotrka. Zresztą, no co byśmy pokazali, żeśmy nie mieli dla niego żadnych dokumentów. Tak wyglądał, że to było czarno na białym wypisane. I niech pan sobie wyobrazi, że oni jak gdyby poprzestali, bo babcia może, może i mama, no obie czarne włosy, czarne oczy, no może coś wyglądała, a więc obie musiały pokazywać świadectwo chrztu i urodzenia. Tak że dość dokładnie sprawdzali. I widocznie dosiedli do wniosku, że no tak mogą kobiety w Polsce też wyglądać, nie same blondynki. Ale te świadectwa mama, wiem, szukała, pokazywała, babcia pokazywała. Oczywiście mój starszy brat też. No wszystko bractwo pochrzczone w różnych miejscach. Tak że to była noc cudów, że nas wszystkich nie zagarnęli tam. I myślę, że to zdecydowało, że w pewnej chwili babcia i mama doszły do wniosku, że to jest loteria. Raz się uda, drugi raz może się nie udać. I to zdecydowało, że... no inna jest rzecz dla pani Plater, też tym naciskiem, że na razie nie przychodź, no zatrzymaj się z tym uczeniem, no będziesz kontynuowała później trochę, ale my wiemy, że ten wasz dom jest obserwowany. No wie pan, jak wybuchło Powstanie, to myślałam, co byśmy zrobili z tym dzieckiem. No co byśmy z nim zrobili? Jak zwykle miałby być z nami, tylko że by go rozłączyli od nas. Tak że z upływem czasu myślałam, że no może czasami takie rozwiązania, które się wydają okropne, bo mama mówiła: „Ja muszę to dziecko dotrzymać i oddać rodzicom”. I pamiętam, jak ja mówię: „Mamusiu, przecież oni wszystkich nas by pozabijali”. „No tak, ale ja jestem tak wychowana i nasza religia nakazuje pomagać. Zresztą nie dyskutujemy na ten temat, bo to już stało się, jest fakt i koniec”. No ale wie pan, po czasie to się na to ina-

czej patrzy, ale wtedy to myślałam, że ryzykowała mama całe życie wszystkich nas. Mama i ojciec oczywiście, ale wiedziałam, że mama była tą siłą motoryczną: „Musimy wziąć, obiecaliśmy i przechowamy, a po wojnie dziecko oddamy”. Więc już było przykre to, że musiały zaprowadzić do tego... No i jak wybuchło Powstanie, no to ten był gdzieś w jakimś zakonie. Potem, będę to kontynuować, ale domyślamy się, że różne zakony męskie i żeńskie przenosiły się do Krakowa i do Częstochowy i znajdowały lokum u innych. Tak jak w Częstochowie na przykład na Jasnej Górze. Te wszystkie zakony były otwarte na przybyszów z Warszawy. Oczywiście nie cywili, ale no zakon. Przyjąc ten zakon, który z Warszawy stracił wszystko. Więc on po prostu... my razem, z tym zakonem był wywieziony. Jedno było przykre, no ale mówiliśmy: „Piotrusiu, wszystko to, co trzeba będzie, musisz robić. Więc czy pacierz, czy coś, naucz się. Bo po prostu były takie sytuacje, że Niemcy wpadali, tak, palcem pokazywali: „No odmów pacierz”. No każde dziecko pacierz oczywiście zna. Myśmy nigdy go nie uczyli, no bo wydawało się, że nie można temu dziecku w głowie kręcić. Jest Żydem, jest Żydem, tak. Niech rodzice, może asymilowani, ale to nie znaczy, że bym go akurat przedstawiała na katolicyzm, tak, czy nasza rodzina. No ale siostry mówiły, że proszę dziecku wytłumaczyć, że my wszystkie dzieci uczymy. Że w razie, jeżeli wpadają do nas, żeby na wyrwyki, żeby nie wpadł po prostu, no. A już dostatecznie wygląda niedobrze. Więc jeżeli nie będzie umiał jeszcze słowa z pacierza, to nie będzie dobre. No więc tak na tym się urywa mój film, jeżeli chodzi o wybuch Powstania. A ojciec siedzi w Oświęcimiu, już jest w Oświęcimiu. Z Oświęcimia przysłał list, gdzie jest, to już wiedzieliśmy. Bo przedtem przychodziły grypsy, gdzie mowa była, nie wiemy na pewno, czy będziemy wywiezieni do Oświęcimia, czy w inne miejsce. No więc jak przyszedł gryps, to jest taki niemiecki porządek. Odesłali futro ojca i w kieszeni gdzieś wetknięty był, cieniutka karteczka: „Jedziemy do Oświęcimia”. No i to była ta wiadomość, że wiedzieliśmy, że no już ojca raczej nie zobaczymy. Już go aresztowali na dobre. Z tym że gdyby miał coś dalej podać, to w czasie Powstania cały czas była kwestia, czy ojciec żyje, czy nie żyje. 63 dni my nie mamy wiadomości, on nie ma. Czy on żyje, nie wiemy. A jednocześnie mieliśmy znajomego, który w Oświęcimiu spędził dużo czasu i on każdą kartę, która przychodziła od ojca, sprawdzał, jaki numer bloku. Bo on tam dość długo był w Oświęcimiu i chyba za wysługę lat, bo to jeden z pierwszych aresztowanych Polaków był. I on powiedział, słuchajcie, to jest numer bloku śmierci, ta karta. No i z tym zostaliśmy na Powstanie. Taka przyszła karta z takim numerem bloku. I teraz płyną te dni powstaniowe, a my nie wiemy, co się z ojcem dzieje. Potem mogę kontynuować, co się dalej stało, w Warszawie wybuch Powstanie.

Rafał Pękała: Gdzie panią zastał wybuch Powstania? Ale to w zasadzie też jest pytanie o to, czy pani jakoś była zaangażowana w działalność?

Anna Danuta Przytuła: Nie, ja zgodnie z tym, o co ojciec prosił, chodziłam, uczyłam się, ale nigdzie nie byłam zarejestrowana. A brat w pewnej chwili powiedział mi, jak ja powiedziałam, ty wiesz, o co ojciec prosił? A on powiedział, już ojciec jest w Oświęcimiu. To już nic gorzej i tak nie może być. Więc zaczął oficjalnie po prostu sprowadzać kolegów do domu, te swoje jakieś ćwiczenia takie czy inne odbywali. A ja właściwie byłam zaangażowana przy mamie, bo ona ciągle, no jeszcze ta wiadomość o ojcu, że wywieziony. Ona, okazało się, że właściwie już miała przerzuty. Ona była chora, ciągle była chora. I na dodatek no psychicznie wykończona zupełnie tą informacją, jak dostała to futro, że już go nie ma. A teraz czy on przeżyje, czy nie przeżyje Oświęcim. No w końcu nie miał 20 lat. Więc w momencie wybuchu Powstania to tak, to były te daty zmieniane. Dzisiaj, jutro, pojutrze, o tej godzinie, o tamtej. Wiem, że brat wchodził, wychodził, a i nie, jeszcze nie. To jakoś nie od razu był podany ten dzień pierwszy i go-

dzina 5:00 [17.00]. Tak nie było. No i wiem, że właśnie przyszedł, a to jakieś jedzenie wziął, a to jakieś ubranie. No i potem znów się pokazuje jeszcze raz. Tak że ja mówię: „Wiesz, mamusi, musisz pójść do lekarza. „My musimy ruszyć do lekarza. Chodź, musimy, musimy się ruszyć”. Idziemy. I w momencie, kiedy mam z mamą wychodzić, ubrałam ją, wyrztałam przez balkon. I mówię: „Latają młodzi ludzie pod samym murem”. Pod samym murem i już czuję, bo widzę biało-czerwone. Biało-czerwone. To jakaś opaska, to coś. Mówię: „Mamusi, to chyba Jurek już nie przyjdzie. To chyba to jest już, dzisiaj”. Tym bardziej, że w międzyczasie także zjawił się mój narzeczony, no. Ja nie miałam zamiaru wychodzić za mąż, ale to się nazywało no narzeczony twój. Dobrze. Pożegnać się. Pożegnać się, bo on idzie do powstania, a on czuje, że on zginie”. Że to się źle skończy, nas tu wszystkich wybiją. I wiem, że ja po prostu powiedziałam, no... taki, taki, tak myśli, że taki jakiś jesteś pesymistą no, to to właściwie, czy to dobrze, że ty idziesz? A on mi na to odpowiedział, co zresztą potem wydrukowali mi we wspomnieniach. Jego zdanie ostatnie. „A jak bym mógł żyć, gdyby wszyscy przyjaciele zginęli? Muszę iść”. No na drugi dzień zginął, w drugim dniu Powstania. A zginął dlatego po prostu, że wtedy nie byliśmy uznani za wojsko, tylko bandyci z lasu. Więc każdy powstaniec łapany był rozstrzeliwany. Oczywiście w tym momencie ja nie wiedziałam o tym, że on zginął, ale wiedzieliśmy, że jeszcze nas świat nie uznał za regularne wojsko. Każdy dzień był drogi, powinni to zrobić natychmiast po wybuchu. A tu dużo ludzi zginęło, złapanych z powstańców, w pierwszych dniach. To się zaczęło. I mówię: „Mamusi, nie możemy iść do lekarza. Nie wiem, co zrobimy dalej, ale na razie zostajemy”. No, w tym momencie u nas była także siostra mojej ciocia, siostra mojej mamy z dzieckiem i babcia. Tak że powiększona trochę rodzina była. No babcia bardzo energiczna mówi: „Słuchajcie, my nie możemy tu ani chwili na nic czekać, bo za chwilę oni będą chcieli pić, będą chcieli jeść, będą chcieli się wykąpać, będą ranni, trzeba coś robić”. No i to był ten moment, który w jakimś sensie o moim życiu zdecydował, bo babcia mówi: „Ja się biorę za gotowanie, a ty się bierz za pranie”. Przyznam się szczerze, że pralek elektrycznych nie było. Była balia i była tara, ja tam nie za bardzo byłam na praczkę szykowana, więc ciężko mi to szło. Babcia oczywiście: „Jesteś najmłodsza, to ty się za to bierz”. No i to, wie pan, tak się ciągnęło, to znaczy strzelanina, wszyscy się cieszą, no wreszcie, wreszcie. Naprawdę wszyscy czekaliśmy na wybuch Powstania, po prostu dlatego, że byliśmy wszyscy zmęczeni, poza tym te rozstrzeliwania na ulicach. Ja sama znajomych znajdowałam na liście, jeżeli cokolwiek zrobicie przeciwko działaniu jakiegokolwiek przeciwko władzy niemieckiej, ci ludzie będą rozstrzelani. Więc widzi pan te znajome nazwiska, no i co? I sparaliżowani, no nic nie robić. No bo jeżeli cokolwiek zrobimy, to rozstrzelają tych ludzi. Tak że młodzież była..., poza tym nagle się okazało, że oni, nabór młodych ludzi do kopania rowów, oni będą bronić Warszawę. No więc znowu obawa w ogóle, czy tych ludzi młodych nie wywozą po prostu Niemcy. Nie jestem w stanie przekazać tego, to była euforia. Jeżeli to się miało stać, to dobrze, bo jak długo można w napięciu żyć? A to było już sporo lat przecież, czekania na ten jakiś sygnał, na ten dobry moment. Może to nie był dobry moment, jak potem wszyscy mówili, ale wie pan, nie był dobry. Może gdyby były telefony, tak jak teraz komórkowe, to każdy by zadzwonił do domu i powiedział, gdzie jest w danym momencie. A to złapało ludzi o godzinie 5:00 po południu, kiedy wychodzili z pracy, ale do domu nie dojechali, bo to jakieś sprawunki i tak dalej, i tak dalej. I na tym polegał właściwie dramat tych ludzi, którzy w piwnicach obcych, w obcych domach czekali. Nie wiadomo, na co. No nie wiadomo, na co. Po prostu nagle byli między swoim domem i biurem, czy fabryką. Ale bez przygotowania na to, że to już w tej chwili, dzisiaj. To było na pewno straszne dla wielu ludzi. Jeżeli chodzi o naszą rodzinę, no to cóż, mama, mimo że chora, w nocy budowała razem ze mną barykady, no bo to było ciągle rozbijane. Chodziła po wodę, chodziłyśmy do piekarni, bo jeszcze piekarnie były otwierane i w piwnicach pieczono chleb. Tak że zupełnie, wie pan, no przedziwne rzeczy. Ale noc kryła nas, więc wszyscy wychodzi-

li coś zrobić. Między innymi mama też. Ja byłam już bardzo, bardzo tym praniem, które mi nie wychodziło zupełnie, a robiłam to od rana do wieczora, zmęczona, że powiedziałam: „Babciu, ja muszę robić coś innego”. „Ty jesteś zaprzysiężona, ty jesteś w Powstaniu”. „Ale ja muszę coś innego robić”. Wie pan, miałam, tak jak to człowiek nie umie trzeć, to po prostu miałam pościeraną tę skórę, bolało mnie to, piekło mnie. A przecież oni nie byli w t-shirtach, tylko jakieś kurtki angielskie, nieangielskie, więc to grube było. To by trzeba było przez pralkę i to jeszcze byłoby ciężko, a tutaj w ręce prać. Więc byłam zmęczona i cała przyjemność to była, że w nocy wychodziłam na dach i patrzyłam po prostu, gdzie, w jakim miejscu w Warszawie widzę ogień, gdzie się co dzieje. I zaczęły się pokazywać karteczki przez młodych, bardzo małych dzieciaków roznoszone, dlatego przez dzieci, że one tak jak no myszki mogły się przemknąć, wiadomości, gdzie, kto jest, naklejali to na domach. No ja nie dostałam żadnej wiadomości od swojego narzeczonego. To było dla mnie dziwne. Tydzień, dziesięć dni, no to niemożliwe. Potem się okazało oczywiście, że nie miałam na co czekać. – No i w pewnej chwili... – Jak się nazywał narzeczony, pamięta pani? Słucham? On był na Żoliborzu, w „Baszcie” był. I jak się nazywał? Jaki miał pseudonim? Bohdan, przez „h” Witt, dwa „t”. Dlatego panu tak dokładnie podaje, że na ścianie w muzeum, wie pan, ta ściana, gdzie są nazwiska tych, którzy zginęli w czasie Powstania, on jest, przez „g” jest napisane, „Bogdan”, a to był „Bohdan”, przez „h”. Czy mam podać okoliczności, jak się potem zorientowałam, jak to było? Tak. Proszę opowiedzieć. On był, siedzieli, wie pan, miałam wcześniej wiadomość, ale jak człowiek nie chce, to w coś nie wierzy. Było trójka ich. On, jego kuzyn Andrzej Koźmiński i jeszcze jakiś trzeci kolega, pewnie z tej politechniki, czy z tego Wawelberga. W każdym razie trzej w kartoflisku. I ten Andrzej dostał postrzał. Postrzał i to taki ciężki. Więc ten mój narzeczony podniósł się, jego podniósł i skierował się w stronę, tam, skąd strzały szły, do posterunku niemieckiego. Z tym że białe coś tam, chusteczka czy coś na karabinie. I miałam taką wiadomość, że ten trzeci został w tym kartoflisku i powiedział, że: „Ja wiem, że zginęli, bo jak się udali do tego posterunku, to usłyszałem dwa strzały”. No wie pan, no można powiedzieć, że no rzeczywiście, ale przecież nie widział tego. Więc ja po prostu nie przyjąłam tego do wiadomości. Zresztą ta wiadomość przyszła do mnie znacznie później, po Powstaniu. Grubo, grubo po Powstaniu. Tylko mówię, no słyszał strzały, no wiadomo, do kogo strzelali? No nie wiadomo. Ale to po prostu było do niego. Nie mogę urwać tutaj, bo nie wrócę do tego więcej. Nie miałam cały czas żadnych wiadomości. W takich czy innych okolicznościach znalazłam się w Ameryce i moi synowie powiedzieli: „Słuchaj, a może chodźmy po bibliotekach uniwersyteckich, może coś znajdziesz?”. Ja mówię: „No wiesz, no co mogę znaleźć?”. „No może coś, co cię zainteresuje”. I wyjmuję książkę i jest o „Baszcie”. Jest o „Baszcie”, no więc to mnie interesuje, oczywiście. I tam z tego właśnie, z tej książki orientuję się to, o czym panu mówię, że ktoś mówi, że był, że słyszał strzały i to byli ci dwaj, więc tam zginęli. To jest ta wiadomość, którą ja powinienam kupić. Ale jej nie kupiłam, no bo nie chciałam. Po kilkudziesięciu latach do domu, gdzie mieszkał ze swoimi rodzicami mój narzeczony ktoś zapukał do drzwi i spytał, czy tu mieszka taka i taka rodzina. Ponieważ ta kamienica do nich należała, i to było przy Emilii Plater, więc tam akurat ta cała prawie ulica w porządku była, nie zniszczona, nie spalona. Więc matka powiedziała, że tak. „My kopaliśmy kartofle i znaleźliśmy szczątki. Nic więcej nie było, ale była legitymacja rowerowa, która była w plastiku”. I w ten sposób robaki tego nie zjadły i to nie zgniło. Bo to było w plastikowym opakowaniu takim. „Widzimy nazwisko i widzimy adres, czy to jest ktoś z rodziny?”. No i to był ten rzeczywisty dowód, że to był on. No więc ekshumacja była i pochowanie na Powązkach. Ale to było wiele, wiele lat później. Tak że ja już wtedy po latach założyłam rodzinę, miałam synów. Kiedyś się o tym dowiedziałam. Już nie mieszkałam w Polsce, wtedy byłam już tutaj. Więc dla mnie to było takie przykre, bo oni mówią, że to nie był żaden grób. To po prostu była ziemia i kartofle tam były. No więc nie spodziewaliśmy się, to nie była mogiła, to nie był krzyż.

I w tych warunkach, gdyby nie ta legitymacja, no to po prostu nieznanymi. Dzięki temu adresowi i temu, że ta rodzina w dalszym ciągu mieszkała pod tym adresem, zostało udokumentowane. To mówię, skończyłam to, co dotyczyło jego. Tak. Ale wracam do siebie. – Wracamy do siebie. – Tak. No więc powiedziałam babci, że ja nie mogę już nic z tymi rękami robić. Ja muszę coś innego. Muszę panu powiedzieć, że ta sytuacja to była tego typu, że moja mama właściwie chciała, żebym ja robiła to, co robię, dlatego że ona mnie miała w tym samym domu, na tym samym podwórku, w tej samej piwnicy. Kręciłam się, robiłam, prałam, suszyłam i tak dalej. Jednocześnie w domu częściowo szpital był też, no bo wyniosło się wszystko, co można. No bo i ranni zaczęli być. I chciała, że niech to już tak trwa. Lada dzień się Powstanie skończy. Starszy brat miał swój punkt, dworzec pocztowy. To jest, wie pan, za Dworcem Głównym. Za tym, którego już nie ma? Tak. Ale tam był, ale wie pan, no... jakś tam wiadomość raz przysłał, że: „Jestem tutaj, nie denerwujcie się. Niestety broni nie mam, mam tylko granaty”. To było to, co dowiedzieliśmy się. Potem się okazało, że był ranny, no ale to już późniejsza sprawa. A młodszy, który miał 14,5 lat, od razu zaangażował się. To znaczy on właśnie w czasie okupacji robił rzeczy, które mamę doprowadzały do rozpacz. Bo była godzina policyjna, a on korzystał z tego, że ojciec w Oświęcimiu, mama leży w łóżku, więc tak jakoś nikt go nie pilnuje. I on po prostu latał pod mur getta z kolegami, z domu brał jedzenie i przrzucali tam dzieciom żydowskim z drugiej strony. Zgadali się jakoś, że będą o tej i o tej godzinie przychodzić i jedzenie przynosić. Mama się połapała po tym, że ciągle coś z tym jedzeniem, się dziwne rzeczy działy. I on się wreszcie przyznał, że on zabiera, bo on nosi. Więc zdenerwowanie dla mamy było szalone, ale to było jeszcze wtedy, kiedy nie było Powstania. W czasie Powstania dalej kontynuował, co on chciał robić. Na naszym podwórku, ale to tak trudno powiedzieć podwórko, bo to był ruch taki, Marszałkowska, tutaj Moniuszki i tak dalej, był tak zwany Korpus Ochrony Sztabu „Koszta”. Tam sobie zrobili dowództwo. I on od razu się tam jakoś zakręcił, że on jest też potrzebny. Najpierw był posłańcem, no bo młody, potem wiem, że na warcie stawał w nocy. Wiem, bo jak wracałam nieraz, to zatrzymywał mnie, „Hasło” – „Odzew”. Cuda ze mną wyczyniał, ale był zaangażowany. Ironia polegała na tym, że mój starszy brat miał granaty, a ten miał dwa karabiny. Jak to się stało, nie wiem, skąd on je zdobył, tylko ja mówiłam: „Na litość boską, oddaj ten jeden Jurkowi, no on nie ma nic, on ma tylko granaty”. „Ja jestem pewniejszy, jak ja mam oba”. No więc 14,5 lat miał. Tak że po powstaniu to podobno zabrali tych młodocianych do specjalnego obozu. Nie wiem, gdzie to jest, Lamsdorf [pol. Łambinowice], taka nazwę w głowie ją mam, dla młodocianych, takich znaczy niepełnoletnich, no. Tam podobno Niemcy ich wywieźli. Bo już jak tylko uznano nas za wojsko, to już wszyscy aresztowani szli do obozu dla jeńców. To już nie byli rozstrzelani, tylko byli brani jako jeńcy. Ale młodociani byli jeszcze w specjalnym obozie dla młodocianych. Nie mam pojęcia, gdzie to Lamsdorf mogło być. Bo oczywiście rozdzieleni byli. Jeden był w innym obozie i drugi był w innym. Nie razem byli. Wracając do mnie, ja mówię do babci, że babciu, więc ja muszę robić coś innego. I któregoś dnia babcia, która z kolei też pracowała w Czerwonym Krzyżu, w rest... oni mieli bazę, restauracja Adria, po drugiej stronie Moniuszki. Babcia się zjawia i mówi: „Słuchaj, zginęła łączniczka, potrzebują natychmiast”. No więc ja mówię: „Ja natychmiast idę, oczywiście”. Sanitariuszka to coś, ja muszę wiedzieć, umieć. Łączniczka, w porządku. Zgłosiłam się. To był gmach PKO, Polska Kasa Opieki, to na rogu Jasnej i chyba Świętokrzyskiej. – On do dzisiaj jest. – Tak, jest. Tam było dowództwo obrony Warszawy. Tak, mój ojciec tam był. Ojciec był w 1939 roku.

Rafał Pękała: A pani w 1944...

Anna Danuta Przytuła: A potem ja. A ja tam się zgłosiłam i tam byłam, bo zasadniczo mój przydział był taki, nazy-

wało się: Kwatera Główna, Oddział I, Wojskowy Sąd Specjalny. Bo głównie pomiędzy dowództwem, a tym Wojskowym Sądem Specjalnym. Tylko że jedno było po jednej stronie Alej, drugie po drugiej. Więc to było to, co ja codziennie te aleje przynajmniej 3–4 razy przebiegałam. One był pod obstrzałem snajperskim... Wie pan, to było tak, że dworzec pod spodem. Nie mogli wkopać się głęboko. No Bo nie mogli. Bo dworzec główny pod spodem. Więc to była barykada, ale płytko wykopane i postawione różne worki. A obstrzał szedł z BGK, Bank Gospodarstwa Krajowego. I stamtąd snajperzy strzelali. Więc mieli nas no na wierzchu. Czołgać się człowiek nie czołga, no przychylił się. Tam właśnie ona zginęła ta... Bo zasadniczo obowiązywało, łączniczki mają biegać przynajmniej w tym układzie, dwie. Że jeżeli jedna pada, druga bierze dokumenty i biegnie. No a ja zostałam sama po prostu, już byłam. Nie dokooptowali nikogo, tylko ja byłam. No więc moja baza to był właściwie ten Wojskowy Sąd Specjalny w PKO. Ale ponieważ to było parę kroków od Moniuszki, dosłownie, pan orientuje się trochę? Więc oni mówią, że: „Słuchaj, damy ci hasło na dzień, na noc, ale jeżeli chcesz się...”. ja mówię: „Ja muszę się pokazywać mamie. Przecież ona nie wie, co się ze mną dzieje”. Mało tego, błaga mnie, żebym ja przywoziła wiadomości, co z braćmi. Ona siedzi w piwnicy. Więc ja nie mogę po prostu nie pokazać się im na oczy. To może być na godzinę, na dwie, ale ja muszę do tego domu wrócić, pokazać się i rano, a rano będę znowu gotowa”. Byłam bardzo zmęczona, bo to było bieganie po gruzach. To nie były normalne przecież spacerki po ulicach. Czasami miałam chwilę, siedziałam, panowie siedzieli, moi sędziowie i przygotowywali dla mnie dokumenty, a ja obok przy stoliku siedziałam i czekałam, żeby te dokumenty były gotowe. No i czasami coś tam sobie, wie pan, napisałam, jest ta i ta godzina, ten i ten dzień, siedzę, czekam czy coś... Coś powstało w rodzaju takiego, no jak gdyby, pamiętnik. Z tych wolnych chwil, które złapałam, ale to nigdy nie była skończona myśl. „Już jest gotowe, „Koza... już, bierz papier i leć”. No i to rzeczywiście było latanie, z tym tylko, że ja znałam Warszawę, ale Aleje Jerozolimskie, aleje Ujazdowskie, Łazienki, Saski Ogród, Marszałkowska, no to to chciałam znać. A to były adresy bardzo różne, jakieś ulice, o których w życiu nie słyszałam, no bo nie słyszałam, no. Więc nieraz mówiłam, że jak ja tam dobrnę, ale oczywiście za żadne pieniądze nie zrezygnowałabym. Więc mi powiedzieli, słuchaj, po ulicach musisz biegać. Czasami możesz, jeżeli po jednej stronie ulicy, to są domy obok siebie, dziura w murze, dziura w murze. Przelatuje się po prostu, jeżeli po tej samej stronie ulicy, a tam już są strzałki do takiej ulicy, do takiej ulicy, węglem wypisane na ścianach. No i ludzie pomogą, więc na pewno, bo ja mówię, no nie wszędzie mogę dotrzeć, jak jest obstrzał, no, a nie mogę siedzieć, więc dowiesz się jakoś, ci tam ludzie pomogą. Więc część biegałam na zewnątrz, a część po prostu po piwnicach. Z tym, że na początku, to wie pan, nastrój był wspaniały w tych piwnicach, mimo że to kobiety, że to małe dzieci, ale tak, no, to parę dni i się skończy, no, zaraz się skończy, no. I ludzie dzielili się jedzeniem. I no nie było tego, że za chwilę głód nam zajrzy w oczy, no po 63 dniach, no to tak się i stało. Jeżeli chodzi o moją rodzinę, to ja po prostu pamiętam, że brat przysłał kartkę: „Babciu, czy jest coś do jedzenia? Jesteśmy głodni, wychodzimy na patrol. Czy moglibyśmy coś dostać, jak wpadniemy?”. Więc babcia powiedziała: „Tak, ja jeszcze mam słoik, jakieś mięso w słoiku”. No i brat potem mówi: „Dochodziliśmy już prawie do domu, kiedy mówię do kolegów: »Chłopaki, spaliło się mięso«...”. To po prostu nasz dom się spalił. – Trafiała bomba? – Tak. Tak. I wie pan, do dziś dnia, jak ja jeżdżę, to stoi dom na lewo, stoi na prawo, tylko tu jest parking, dokładnie tu, gdzie był nasz dom. I to robi na mnie okropne wrażenie, że szedł tylko tu. No ale wie pan, nie było jak gasić, no jak się po wodę do picia chodziło, jak można było gasić? Nie było jak. I pamiętam, że ja wtedy złamałam trochę, że tak powiem, swoje obowiązki, odstąpiłam od obowiązków. Przelatywałam z jakimiś papierami i zobaczyłam, że ten dom się pali. I pomyślałam, że jak ja skończę, to już tutaj nic nie będzie z tego domu. Że no nie wolno mi się zatrzymać, ale może na trochę, może coś wyniosę, jakieś palta, jakieś buty, do piwnicy, bo moja rodzina w piwnicy siedziała. Wie pan, te domy w Warszawie to jednak były solidnie stojące. To nie było tak, jak tu, że leci wszystko, jak się

zapali. Wypalały się, ale mury stały. I to trochę trwało, zanim się dom spalił. Więc ja rzeczywiście wpadłam i troszkę ubrania złapałam, zniosłam na dół, jakieś buty, coś. I powiedziałam do swojej rodziny, że: „Nie mamy domu, ale jak skończę dzisiaj przed nocą, czy może w nocy, to ja po was przylecę i przeprowadzę was na drugą stronę.”, tam, gdzie mieszkaliśmy, Mokotowska 46A. No bo kiedyś ten dom zajęli Niemcy, ale wtedy już Niemców nie było. Bo to już był czas Powstania. Więc mówię, i tam się zatrzymamy. No i rzeczywiście tak się stało, że wróciłam w nocy. Dlaczego? Bo przecież nie przepuszczali. Patrole stały i nie przepuszczaly. Po prostu mieli świadomość, że ludzie zabici będą, więc nie wolno, nie ma, nie ma, póki trochę chociaż nie odbudują barykady. „Nie przepuścimy”. A ja miałam ze sobą no mamę, tę chorą, babcię, ciocię, zawsze słabą, chorowitą, to dziecko jej. No i jeszcze dziewczyna, którą mama wzięła, wyjeżdżając z wakacji, ze Skolimowa, jak dowiedzieliśmy się, że sytuacja taka napięta w Warszawie, mama miała wynajęte mieszkanie, no na wakacje w Skolimowie, to jest koło Konstancina. Powiedziała: „To wiecie co, przerwijmy, zapłacone jest za miesiąc, ale lepiej jedźmy do Warszawy”. I stamtąd wzięła dziewczynę, po prostu trochę nam coś pomoże no, to ją się odwiezie przy jakiejś okazji z powrotem. Więc jeszcze tę dziewczynę miałam do przeprowadzenia. No to było bardzo dużo ludzi. No więc oczywiście, że miałam problemy, nie chcieli mnie przepuścić. Miałam, wie pan, szczęście, bo zawsze się przedostałam, ale jak ja to już robiłam, to już, Panie Boże, zmiłuj się. Fakt faktem, że tę rodzinę przeprowadziłam i to było jak raj na ziemi, bo ta część Warszawy nie była jeszcze ani bombardowana, ani zdobyta przez Niemców, oni jeszcze siedzieli tam przy... Aleja Szucha i te inne ulice, to było jeszcze ciągle ich. I tam był spokój, tam był spokój. A nasza część, po drugiej stronie Alei Jerozolimskich, no to było po prostu bombardowane ciągle. Więc po przeprowadzeniu ich no niby wiedziałam, że już są wszyscy po tej stronie, ale dla odmiany musiałam latać na drugą stronę, żeby mamie powiedzieć, że ten brat młodszy, który zdecydował się z „Kosztą” współpracować, siedzi tam na podwórku Moniuszki 9, no. Więc tam mama: „No ale dowiedz się, czy żyje, no na litość boską, sprawdź”. No więc ja i tak przebiegałam na drugą stronę, gdybym nawet nie potrzebowała, żeby przywieźć wiadomości, co ze starszym bratem, co z młodszym. No w międzyczasie starszy brat był ranny, no ale już mamie nawet o tym nie mówiłam, bo nie było to tak tragiczne, żeby ją jeszcze dobijać. W międzyczasie raz i drugi są tak zwane otwarte wrota dla ludności cywilnej. To były jakieś ustalenia między Niemcami a naszym dowództwem, że ludność cywilna, kobiety, dzieci, ludzie starsi, od godziny do godziny mogą wyjść. No i tu znowu, wie pan, dramat w mojej rodzinie, bo ja bardzo chciałam, żeby oni wyszli, no bo to się tak mówi, no ale ciągle starać się mamie przywozić wiadomości, czy synowie żyją, zmęczona byłam tym bieganiem ciągłym po tych gruzach dzień i noc. Więc namawiałam, no ale mowy nie było. Mama powiedziała: „Ja nie wiem, jeżeli to przeżyjemy, to jak ja bym mogła z ojcem się spotkać, że ja wyszłam, a was zostawiłam w Powstaniu. Ja zostaję”. No więc nie był to, wie pan, dobry pomysł, bo obciążające dla nas trójki, to znaczy dla braci i dla mnie. Gorzej jeszcze, że mama w końcu prosiła, jak już za którymś razem, ja powiedziałam: „Mamusiu, jakbyście wyszli, pomyśl, no my tutaj musimy zostać.”, ale to jest okropne, bo ja też widzę w tych piwnicach zmianę nastrojów. Ja przelatuję, ale to nie są ci uśmiechnięci ludzie, co pomóc, co zrobić, nie. Oni już mieli do nas pretensje: „Skończcie z tym szaleństwem”. Już mieli dosyć... No, wie pan, nie ma się co dziwić. Brak wody, brak jedzenia. Z dziećmi. Bombardowania, tak? Z dziećmi. Więc ja, broń Boże, nie miałam pretensji, no ale wie pan, to nie było przyjemne. Wchodzi pan przez tłum w tej piwnicy i za panem lecą te przekleństwa. To znaczy, nie to, żeby mnie osobiście atakowali, no ale ja wiedziałam, że mają dosyć. Zresztą, wie pan, no, nam się cały dom spalił, więc ja wiem, w jakiej myśmy byli sytuacji, że ja nie powiem, że bym odczuwała głód, dlatego że jak człowiek ma coś do zrobienia, zmęczony, to mu się nawet jeść nie chce. Wiem, że miałam, babcia piekła, nigdy nie widziałam nic takiego, na zakwasie, chleb na zakwasie. No nie znałam takiego chleba. To było, wie pan, w kolorze gliny i konsystencji gliny. Ale pamiętam, że Boże, jak mi ten

chleb smakował. Ale wszystko było wydzielone, więc mały kawałeczek dostawałam rano i mały wieczorem czy w nocy, jak wracałam. I to, no po prostu tak było wymierzone, no. Nie starczyłoby nam. A trudno było kupić cokolwiek, bo najpierw to sprzedawali, a potem, no, to już wyprzedali wszystko za jakieś szalone kwoty. Wiem, że ludzie wszystko, co mieli, no, pierścionki, nie pierścionki, pieniędzy przecież już nie było. Więc jeżeli my byliśmy w takiej trudnej sytuacji, dorośli ludzie, to co mówić, że to były matki z dziećmi, no. To można sobie wyobrazić, że entuzjazm entuzjazmem, ale jak długo można wytrzymać. To było 63 dni. No i dla mnie przyszedł moment, że moja mama mówi: „Zlituj się, nie zostawiaj nas samych. Ja nie dam rady, ja jestem chora. Babcia – dezynteria, no też rozchorowała się w końcu. Ciocia, wiesz, jaka jest, mdlejąca. I to dziecko. No zostań chociaż ty z nami. Zostań w tym sensie, że nie wychodź z wojskiem. Wyjdź z nami. Bo ja nie dam sobie rady i babcia też nie da rady”. To już koniec Powstania, tak? Tak, z tym że wie pan, dla nas to była tragedia, bo myśmy przyjmowali, brzmi to może, z upływem czasu brzmi to i śmiesznie trochę, ale my tu musimy zginąć, no. Tak jest, tak... W każdym razie my nie będziemy kapitulować. My tu wszyscy zginie, ale my nie skapitulujemy nigdy. I nagle się dowiadujemy, że dowództwo za nas zdecydowało. Myślę, że dla nich to też musiało być straszne, bo ludzie byli ciągle gotowi, młodzi, do walki. To nie było to jakiś bunt czy coś, nie: „My chcemy dalej walczyć”. A oni za nas w naszym imieniu kapitulują. No po prostu potem wiedziałam, że to była decyzja, żeby ratować resztki tego, co przeżyło. Że zginie wszyscy, jak nie inaczej, to z głodu.

Rafał Pękała: A pani miała orientację, co się dzieje w innych dzielnicach, na przykład na Żoliborzu, na Woli?

Anna Danuta Przytuła: Nie, ja miałam swój teren głównie właśnie... jedna strona Alej i druga strona Alej, te wszystkie ulice. Te Stare Miasto na przykład, jak to wyglądało? Nie, miałam znajomych, więc przyszli ze Starego Miasta i powiedzieli: „Słuchaj, narzekasz, ale tam jest piekło.”, było. Wyszliśmy kanałami, ale ludność zostawiliśmy. No bo nie było sposobu kanałami, żeby się ludzie wydostali, więc to było straszne. Ja słuchałem kiedyś rozmowy, rozmawiałem z powstańcem, który ze Starego Miasta przeszedł do Śródmieścia. To powiedział, że czuł się, jakby przyszedł do normalnego miasta. Szczególnie po tamtej stronie właśnie. – Szczególnie po tej stronie. – Tak. No on też powiedział: „Matko Boska, raj na ziemi”. Ja mówię: „Tak, tylko że z głodu umieramy w tym raj”. Wiesz, tylko tyle jeszcze no. „Ale życie.”, no bo tam dość dużo znajomych padło po prostu. Więc wie pan, bo to było niszczone dzielnicami. Teraz czas na tę dzielnicę, na tę dzielnicę, na tę. I w końcu zostało samo to serce, to centrum, częściowo niemieckie, no właśnie Szucha i okolice, no i jeszcze my, gdzie nie gdzie po tej stronie. Więc ja mówię, wiesz, mamusi, no porozmawiam z chłopcami. Poszłam do braci, ale oni mówią: „My musimy wyjść ze swoimi oddziałami, my nie możemy wyjść z ludnością cywilną. No nie możemy”. Po wiem panu szczerze, że ja też nie miałam chęci wyjść z ludnością cywilną. Raz, że się z pewnymi ludźmi człowiek żył, bo w takich warunkach razem to jest troszkę co innego, jak jest życie towarzyskie, jak się siedzi pod biurkiem i bomby lecą i się... wszyscy jesteśmy, że tak powiem, przerażeni no. Ale w ten sposób to są te jakieś związki zupełnie specjalne. A poza tym oni mnie szykowali, żebym ja była łączniczką po skończeniu Powstania. To była, wie pan, sytuacja zupełnie niesamowita. Mianowicie niby się nazywało, że Armia Czerwona wyjdzie lada dzień, a oni się ze mną umawiali, że ja pozostanę ich łączniczką, bo oni pryskają w razie czego z miasta. To znaczy nie chcą być aresztowani przez Rosjan. No ja się z nimi tak umawiałam, że no to i gdzie, i jak? – „Będziesz po prostu cywilem, więc będziesz mogła poruszać się, a my musimy się zadekować pod Warszawą, bliżej ci powiemy, gdzie”. I to dotyczyło oczywiście wielu wojskowych. Więc ja tym bardziej nie mogłam zostać. No ale ta mama była w takiej sytuacji, że zdawało mi się, że ja ją wykończę

psychicznie, więc powiedziałam: „Mamusiu, wiesz, pójdziemy do dowództwa. Jeżeli oni powiedzą, że zgadzają się, no to ja z tobą i z babcią wyjdziemy z miasta jako cywile”. Nie bardzo wiedziałam, jak to może być, bo co to znaczy. No jeżeli ja jestem młoda i zdrowa, to ja jestem z powstania, tak? No jeżeli nawet zmienię ubrania na sobie. No ale mniejsza z tym, to była kwestia przyszłości. Poszliśmy do dowództwa. Najpierw ja poszłam do samej góry. Panowie byli, to wie pan, to takie śmieszne, bo jak tam pierwszy raz wpadłam z dokumentami z Wojskowego Sądu Specjalnego i przyniosłam dokumenty, to ja oczywiście tych panów nie znałam. Ale oni do siebie mówili: „Przyszła córka Tadeusza”. „Słuchajcie, córka Tadeusza jest naszą łączniczką”. Wszyscy się zbiegli. No potem ja te twarze z gazet znałam, kto to był. Ale to byli koledzy ojca z tej konspiracji, kiedy on był w BIP-ie. Więc wiem, że ostatnie dni już w ogóle łącznicy nie mogli przez tę aleję przejść. Ja nie wiem, już wie pan, nie wnikać w szczegóły, co ja tam wyczyniałam z tymi pilnującymi młodymi ludźmi. Nie mam pojęcia. W każdym razie, że przedarłam się nawet w ten przedostatni dzień i wiem, że oni byli zdumieni, że czekają na jakieś meldunki i co? Bez przerwy obstrzelowali, „Jak ty się przedarłaś?”. No tam zresztą mi powiedzieli: „Ty musisz być do Krzyża Walecznych podana, bo ty jesteś ktoś, kto robi coś w czasie wojny, w czasie pokoju to są krzyże zasługi, srebrne takie”. A ja sobie przypominałam, jak mój tata mówił: „Wiesz co, ja nigdy nie noszę odznaczeń”. Ja się zdziwiłam, bo miał tak dużo ich. I mówię: „Tatusiu, no ale dlaczego nie nosisz? Czy to nie jest ważne?”. „Wszystkie są ważne, ale dla kogoś, kto bierze udział w walce, liczy się Virtuti Militari, Krzyż Walecznych. Bo to jest za walkę”. Ojciec zresztą trzykrotnie ten Krzyż Walecznych dostał. No więc w momencie, kiedy oni mówią „Krzyż Walecznych”, to ja mówię, „No może, ale tak jakoś czuję, że muszę jeszcze tę aleję przejść raz. To pewnie i drewniany przy okazji będzie”. „No nie bądź pesymistka, tylko my już wystaliśmy wszystkie, wszystko zdaliśmy, przestaliśmy wszystkie komunikaty, bo opuszczamy Warszawę, ale może jeszcze będziemy cię mogli umieścić”. Nigdy nie dostałam tego krzyża, więc widocznie w tym ostatnim komunikacie, który poszedł, nie byłam jeszcze i nic więcej już nie przekazali. No ale to nieważne. Chodzi o to, że oni pożegnali się ze mną. I potem z mamą poszłam do swojego właściwego dowództwa, to jest Wojskowy Sąd Specjalny. I oni powiedzieli, że ona wszystko zrobiła, co do niej należało więcej, absolutnie. Jeżeli ona jest pani potrzebna, naturalnie nie ma mowy. My zresztą tak naprawdę nie wiemy, co ci Rosjanie zrobią. My się szykujemy, że musimy i przyjąć ich i uciec przed nimi, zanim nas aresztują. Ale to nie jest jeszcze nic pewne. Więc naturalnie ty jesteś wolna, masz z mamą iść i opiekować się nią. No więc ja tak, nie powiem, że bym była szczęśliwa, ale sobie pomyślałam, że tak musi widocznie być, że ktoś musi, jak bracia nie chcą, matki nie chcą, oni uważali, że oni nie mogą no. A mama z kolei uważała, że ja jestem najbardziej potrzebna. No i zdecydowaliśmy, że wobec tego nie było żadnych w domu plecaków, nie było nic, dom był wypalony, ale babcia poszywała poszewki jakieś z poduszek, no i nawlekło się jakieś sznurki i to tak niby był worek na plecy, nie tornister i nie normalny przecież plecak. Już nie będę mówiła, że na steżaku mógł być, żaden, nie przypominał. Więc co, no wie pan, babcia, moja babcia wsadziła mi jeszcze do tego, przejrzała, co ja w tym worku mam. Ja nie miałam oczywiście nic sensownego poza butami, no bo buty wiedziałam, że będą potrzebne, ale powkładałam tam sobie jakieś, wiem, że jakieś fotografie, parę fotografii, jakieś listy, jakieś pachnące buteleczki. Babcia mi to wszystko powyrzucała i mówi: „Co to jest?”. Ja mówię: „Babciu...”. – „Ale ty masz zabrać groch”. Ja mówię: „Babciu, gdzie ja ten groch suchy będę gotowała?”. „Nie wiem, ale musisz zabrać ten groch. Może gdzieś będziesz miała okazję, może ci to życie uratuje, czy nam życie uratuje”. Ja mówię: „Babciu, zostaw mi to, bo to jest zapach świata, który ginie, który zginął”. „To trudno, ale ty musisz żyć”. Więc wyrzuciła mi z tego plecaka te moje pamiątki. No i szliśmy w tym korowodzie ludzi. No właściwie, powiem panu, to nie było uczucie, że to jest wojsko. Ja pamiętam dyspozycję, jak słyszałam, jak dowódcy. „Panowie, umyć się, wychodzić dumnie z miasta, wyprostowani!”. I z czasem pomyślałam, no tak, no to jest jakieś wojsko. A my jak te dziady wychodzimy. Tłum dziadów po prostu. Tyle ludzi płakało, no stracili wszystko, stracili bliskich. I gdzie nas pędzą? Do Pruszkowa.